

Opowiadanie

TRAMWAJ NOCNY

No i nie odbiorę papieru od Kołakowskiego. Tak to jest, jak się przed wyjazdem zostawia wszystko na ostatnią chwilę. Gdzie może być ta knajpa? Już drugi raz przechodzę Sławkowską, zaglądam w każdą bramę, a on tam gdzieś siedzi poniżej, bez zasięgu, przy drewnianym stoliku i czeka. Mam nadzieję przynajmniej, że jest w jakimś towarzystwie, a ten papier dla mnie to tylko tak przy okazji.

– Nie wiesz, gdzie jest "Carpe Diem II"? – zagaduję nieznajomego. W piątek późno wieczorem kręci się tu pełno młodzieży, na przerwach z dyskotek, w poszukiwaniu tanich kebabów lub mcburgerów.

– Pojęcia nie mam. Ale koleś uwaga, bo psy idą – dostaję szybką odpowiedź. Już chcę zapytać, przepraszam, ale o co chodzi...

– Znowu się będą do czegoś przypierdalać, więc my z kolegą delikatnie się zmywamy – dwójka chłopaczków wyraźnie przyspiesza.

Obracam się do tyłu: no idzie policjant, z jakąś babką. Ale czego ja mam się bać? Choć jakoś tak intuicyjnie nie pójde w ich stronę. Mówi się, że praca policji w tym kraju polega głównie na wymuszaniu łapówek. Dwójka przede mną musiała mieć coś chyba na sumieniu, bo skręcając biegiem w Planty. Może ja też podbiegnę trochę, bo tamci za mną są coraz bliżej. Nie, nie dam rady, za słabo się dzisiaj czuję. Zresztą, po co? Czy ja zrobiłem coś złego? Nawet nie mam tego papierka przy sobie, a przecież to i tak jest przyszcz.

– Dobry wieczór, policja. Dowód osobisty poprosimy – mówi do mnie ta babka ubrana po cywilnemu. Na oko taka prosta, dobra kobieta. Po czterdziestce. Policjancik w mundurze, chyba zaraz po szkole policyjnej; mógłby być jej synem.

– Dobry wieczór. Chwileczkę – no ładne jaja. Wyjmuję portfel i wręczam plastik kobiecie.

– To ten, identyczny. Wołaj radiowóz, Maciek – tylko zerknęła na zdjęcie.

– A może mi pani powiedzieć, o co chodzi? Bo ja właśnie idę na ostatni tramwaj i nie chcę wracać na piechotę do domu? – zaczynam się denerwować.

– Chce pan powiadomić kogoś o zatrzymaniu? Jakaś rodzinę, rodziców?

– Rodziców? Moi rodzice już dawno śpią, bo jutro idą do pracy – coś bredzę. – To znaczy, nie mieszajmy może moich rodziców do tego. Wbrew pozorom jestem pełnoletni – udał mi się żarcik, taa. – O jakim zatrzymaniu pani mówi?!

– Pójdzie pan spokojnie z nami czy mamy skuć?

– Nie, no oczywiście, że pójde spokojnie, tylko chciałem się po prostu dowiedzieć, co tu się dzieje? – mam nadzieję, że teraz moją kamienną twarzą zyskam na wiarygodności. Serce na razie nie wyskakuje mi przez gardło, więc jeszcze przez chwilę mam szansę.

– Pan się pyta, co tu się dzieje? Idzie pan na przystanek, a my idziemy razem z panem, prawda? – odwraca się do swojego Maćka. – Jada już, Maciek?

– Mówią, że nie mają nic na stanie – Maciek nie odrywa się od krótkofalówki.

– I gdzie się wyrywasz? – kobieta szarpie mnie za ramię.

– Ja się wyrywam? Co, myśli pani, że pani ucieknę? Spokojnie. Przecież sama pani mówiła, że idziemy na przystanek – to jakiś absurd. – Bardzo proszę się upewnić, czy nie zaszła jakaś pomyłka? Może ja jestem do kogoś podobny? No wie pani, takie rzeczy się jednak zdarzają, prawda? – próbuję dalej być zdrowo rzeczowy, chociaż czuję, że to co mówię, nie ma dla nich najmniejszego znaczenia. Już prawie jesteśmy na przystanku pod LOTem.

– Maciek, zatrzymaj ten tramwaj i zgłoś przewóz! Szybko! – obraca się w moją stronę. – Zostaniesz dowieziony do centrali. Ludzie z międzynarodowego wydziału antyterrorystycznego się tobą zajmą. Z mojej strony to wszystko.

No to spotkałem się z Kołakowskim przed wyjazdem. Bomba. Siedzę w tramwaju. Zupełnie sam. I się rozglądam, i jak wiesz chyba pisał, swoim oczom nie wierzę. Bo co jest, kurwa mać, za przeproszeniem, grane? W sumie najłatwiej by było, gdyby mi się to wszystko śniło, ale przecież przewraca mną tak na zakrętach, że aż się muszę trzymać. Tramwaj pędzi jak na sygnale i nie zatrzymuje się na przystankach po drodze. I w ogóle jakiś taki nowoczesny, nie polski jest, zbyt elegancki. Podsyłają nam tutaj takie konie trojańskie, co to niby za darmo i z przyjaźni, żeby nam się wygodnie jeździło, a tak naprawdę to po to, żeby jakby co, to szybciotko do centrali dowozić. Skąd może być ten czerwony tramwaj? Z Unii? Z Rosji? A może z USA? Nie zdążyli go jeszcze na niebiesko zamaskować, żeby się nie wyróżniał spośród normalnych polskich. I jeszcze jakieś ogłoszenie, nie po polsku, nad fotelem naprzeciw wisi. Zafoliowane zdjęcie kobiety z lekko wyłupiastym i zezowatym wzrokiem oraz podpis w czterech językach z flagami: "Pasażerka, która zajmuje to miejsce jest chora psychicznie. Może zachowywać się nienormalnie, zaczepiać współpasażerów i konduktora. Prosimy o zachowanie spokoju." Rzeczywiście na zdjęciu wygląda obłądnie. A może to jest tak, że tam na zachodzie, tworzy się takie warunki, żeby chory psychicznie mógł też w pełni uczestniczyć w życiu społecznym? No, wyobrażam sobie tę kobietę, jak codziennie rano dojeżdża do swojej pracy, zawsze zajmuje to samo miejsce i nawet jak zaczyna krzyżeć, to jest to ujęte w jakąś unijną normę. I "może zaczepiać konduktora"... A to jest nawet całkiem dobry pomysł, żeby go zaczepić.

Idę na przód wagonu, a nocne miasto miga mi po bokach przez panoramiczne okna. Kabina motorniczego jest jednak nieprzeźroczysta. Zaczynam więc dobijać się do niej pięściami. Tak właśnie pewnie zachowywałyby się człowiek z obłądem... Tramwaj wyjechał za miasto. Ciekawe, gdzie jest ta centrala? W Brukseli? W Moskwie? A może w Waszyngtonie? Jedziemy naprawdę szybko i w końcu wjeżdżamy pod dach jakiegoś wielkiego hangaru. Kolejne metalowe bramy otwierają się i zamykają automatycznie z hukiem.

– Wsiadka, koniec jazdy. Co, przysnęło się na ostatnim przystanku? Ciekawe, że pana jakoś nie przyuważyłem wcześniej. Tutaj wie pan, niezatrudnionym wstęp surowo wzbroniony, rozumiemy się? – motorniczy wygląda mi, na szczęście, na dobrodusznego pana Waldka, ze skórzaną torbą na ramieniu i gazetą w ręku.

– A nie słyszał pan jak się całą drogę dobijałem do pana? – wreszcie może się czegoś dowiem.

– Dobijał się pan? A może, żeś se pan coś za dużo dziś wieczorkiem wypił, co? Ja rozumiem, piątek po robocie, sam bym się chętnie napił, swój obowiązek wobec ojczyzny już spełniłem.

– Człowieku, przecież miałeś mnie wieść do jakiejś centrali na zlecenie policji!?! – chyba zaczynam podnosić głos.

– Idź się pan lepiej przespać do domu, co? Bo rzeczywiście zaraz zlecę coś policji. No, już. Awanturę na zajezdni chcesz pan robić?

– Nie, nie. Chyba ma pan rację, pójdę do domu. Jedzie stąd jakiś nocny tramwaj do miasta?

– Nocny tramwaj? W Krakowie? Co pan, nietutejszy? Do nocnego autobusu będziesz pan miał stąd na nogach jakieś pół godziny. O tam. Ja akurat mieszkam w drugą stronę, więc panu nie pomogę. Coś powinno jechać.

– Rozumiem, dziękuję. Wie pan, ja jestem stąd. Tak się tylko zapytałem o ten nocny tramwaj, bo może coś się zmieniło i na przykład już jeżdżą? Może tak być, prawda, że przez ponad sto lat tramwaje nocne po Krakowie nie jeżdżą, a nagle ktoś wpada na pomysł, że fajnie by było, gdyby jednak jeździły i zaczynają jeździć. Ja na przykład mieszkam w Krakowie trzydzieści lat, a tę zajezdnię to pierwszy raz na oczy widzę. Więc to jest coś podobnego, prawda? Nie było, a jest, rozumie pan?

– A bo to pan nie słyszał, że nową zajezdnię budują pod Krakowem? Za amerykańskie pieniądze. Jak Bush był wtedy na Wawelu, to się to urodziło. W to lato otwierali, nawet prezydent miasta był i kardynał kropił.

W autobusie jedzie trochę ludzi, ale na szczęście nie ma tłoku i mam miejsce siedzące. Zdaje się, że czeka mnie dłuższa przejażdżka przez całe miasto. Pan Waldek miał zdecydowanie

rację co do jednego: powinienem dotrzeć do domu i się przespać. Jestem potwornie zmęczony. Tyle spraw na głowie przed wyjazdem. I jeszcze tym papierem od Kołakowskiego się stresuję. A propos papierów, nie pomyślałem, żeby wylegitymować tę policjantkę. Przecież taki numer może wyciąć każdy. Międzynarodowy wydział antyterrorystyczny i amerykańska baza w zajezdni tramwajowej. Śmieszne. No, jaja po prostu.

– Przepraszam, czy obok pana jest wolne miejsce? – o rany, chyba musiałem się zdrzemnąć. Jest jakiś niepokój w tych dziewczęcych, pytających się mnie oczach.

– Tak, proszę bardzo – przesuwam się.

Dziewczyna rozgląda się bacznie na boki i dopiero siada. Tak jakby miała mi się za chwilę zwierzyć z jakiegoś swojego życiowego sekretu. Kasztanowe, długie włosy, blada, trochę piegowata cera i niebieskie oczy. Ciekawa kombinacja. O, zniknął jej gdzieś ten niepokój. Teraz chce się o coś zapytać.

– Przepraszam, czy pan się dobrze czuje? – no i miałem rację, pyta się.

– Nie najgorzej – kłamię. – A o co chodzi?

– No, bo się mi pan tak przygląda. Coś nie tak? Rozmazał mi się makijaż? Oczko mi poszło? – o, teraz dostrzegam pewną zaczepność, pewną miłą zaczepność.

– Szczerze mówiąc, nie czuję się najlepiej. Ostatnio, wie pani, żyję w takim młynie... – zaczynam opowiadać coś rozsądnego.

– Aha. A ja już wyszłam ze swojego młyna. Zamknęłam go dzisiaj o 18-tej na kłódkę, otrzepałam się z mąki i nie zamierzam do niego wracać przez najbliższe dwa dni. Radzę zrobić to samo. Kaśka jestem – Boże, co za uśmiech, prawdziwe sunshine reggae.

– Konrad. Więc mówisz, że młyn już zamknięty? – inteligentne te oczy. – A czy my przypadkiem nie mieszkamy na tym samym osiedlu? – paznokietki bezbarwnym, a końcówki na biało i do tego białe rękawki spod popielatego, przykurzonego sweterka, ładnie.

– A ty też tutaj wysiadasz? – w oczach wyczekiwanie, spojrzenie numer 25.

– A, w zasadzie to nie wiem do końca, gdzie jestem. Niech się rozejrzę... – czyżby teraz obojętność, spojrzenie 17?

– No, bo ja już tu. Dobranoc i może do zobaczenia – białe szpilki na schodkach, niebieskie dzinsy, znów sunshine reggae, spojrzenie z wysokim numerem, powyżej 30.

Faktycznie mieszkamy na tym samym osiedlu, dwa przystanki od siebie. Nie zdążyłem jej powiedzieć, że jutro rano wyjeżdżam na długo. Ale emaila wziąłem. Brawo dla mnie za przytomność umysłu w trudnych, bojowych warunkach miłego zaskoczenia. No, zdecydowanie poprawiło mi się od tego twojego słonecznego uśmiechu, młynareczko. Teraz tylko muszę się jeszcze na chwilę sprężyć przed pójściem do spania i uporządkować ostatecznie przed wyjazdem te dokumenty od Kołakowskiego. Tak na wszelki wypadek, gdyby rzeczywiście chciał się ktoś do mnie dopier..., to znaczy, chciałem powiedzieć Kasiu, przyczepić. To będzie proste. Uporządkować to wszystko i wyjść wreszcie z młyna – dokładnie tak, jak mi poradziłaś.

Dobra, tu mamy cztery teczki. Sporo tego. Chyba muszę to jakoś poopisywać. Dobrze będzie sobie stworzyć w Excelu taki spis: numer, kiedy dostałem, kiedy podpisałem rachunek, kwota i notatka o tym, do czego to jest podkładka. Żeby nie pogubić się w tym, co tu jest prawdziwe, a co oficjalne. Chyba zdążę to zrobić nim ci z antyterrorystycznego się zorientują. Żart, żartare, oczywiście, ale tych dokumentów coś za dużo jest tutaj. Nie wiem, czy zdążę przed wyjazdem. Kurcze, jeszcze są te dwie duże papierowe torby w szafie.

Co to za daty są w ogóle? 1978, 1986? Przecież ja z Kołakowskim bawię się dopiero od pół roku? Potwierdzenie przyjęcia substancji czynnych i mój podpis? A cóż to jest, do cholery? Foliowe woreczki z jakąś zawiesiną... Boże, skrzek jakiś? Katar? Fuj, świństwo! Skąd to się tu wzięło? A może ktoś chce mnie wkopać? Wariata ze mnie chcą zrobić. Że niby to ja te wirusy podkładał, tak? Że niby ja jestem winny? Że wszystko da się udowodnić. Ale przecież ja, ja przecież... Nie no, do końca też nie jestem pewien. Bo może się tak zdarzyć, prawda, że coś się robi nieświadomie. Że się jest takim normalnym człowiekiem, prawda, i że się wstaje rano i idzie do pracy, a po pracy robi się zakupy w osiedlowym sklepie i czasem się wychodzi z kolegami na piwo, a jednocześnie, w tym samym czasie, prawda, jest się kimś innym, kimś, kto zatruwa

wodociągi bakteriami, kolaboruje z obcymi wywiadami, podstępnie zabija papieża... Może rzeczywiście tak się dzieje? Jak mogę się przekonać, że tak nie jest? Jak mogę udowodnić swoją niewinność? Zanim przyjdą tutaj, nasłani przez tę – a kto wie, czy właśnie nie tak? – agentkę z autobusu.

Tylko spokojnie. Oddychać głęboko. Jeszcze raz spróbuję sobie to wszystko przypomnieć. Zaczniemy od samego początku. Najlepiej od dzieciństwa. Niech pomyślę, momencik... Tak. 1976, zaraz... A chuja mi to da. Jak będą chcieli, to i tak się do mnie dopierdolą. Spokojnie. Albo inaczej. Wiem, co zrobię. Pójdę do mojej sąsiadki z naprzeciwka. To prosta, dobra kobieta. Po czterdziestce. Mieszka z synem. Ona mi powie prawdę. Powie mi to, co widzi na co dzień, tak jak jest. Że jestem takim normalnym człowiekiem, prawda, który wstaje rano i idzie do pracy, a po pracy robi zakupy w osiedlowym sklepie i czasem wychodzi z kolegami na piwo. I nie ma czasu robić tych rzeczy, o które się go oskarża! Jest trzecia nad ranem. Ale pójdę i zdobędę tę pewność. Muszę ją zdobyć. Szybko. Ona mi wybaczy najście, zrozumie. Bo jestem normalnym człowiekiem. Jeszcze zdążę.

Wychodzę na korytarz. Jest ciemno, ale w kontakcie świeci się pomarańczowa kontrolka. Pstryk, i już jest jasno. Proszę, to nie było takie trudne, jak się na początku wydawało. Obok jest dzwonek. Trzy razy, długo i głośno. Żadnego, nawet najmniejszego, poruszenia po drugiej stronie drzwi. Jeszcze raz, trzy razy, bardzo długo i bardzo głośno. Znów cisza. Gaśnie mi światło. Nigdzie nie widzę pomarańczowej kontrolki. Sięgam w miejsce, gdzie przed chwilą był kontakt i dzwonek, ale moja ręka zagłębia się w ciemność. Boję się poruszyć. Czekam. Z dołu dochodzi do mnie nagły trzask drzwi wejściowych do bloku, potem odgłosy wbiegania po schodach na górę, głucho drżenie metalowych poręczy w całej klatce.

lipiec 2005 © Krzysztof Rozmus
<http://krzysztofrozmus.net>